Nr. 25. Warszawa, dnia 6 (18) Czerwca 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:
rocznie .... rs. 3 kop. 60	rocznie .... rs. 5
półrocznie ...... rs. 1 „ 80	półrocznie...... „ 2 kop. 50
kwartalnie...... „ 90	w Austryi rocznie 9 guldenów
miesięcznie..... „ 30	w Prusach „ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi az na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego** (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

POMOC WZAJEMNA.

Sprawy wychowania rodziny i domu są najważniejszą kwestyją, na którą zwracać należy nader baczną uwagę.

Ktokolwiek zechce osądzić bezstronnie, przyzna że mamy słuszność.

Pismo nasze, jakkolwiek nie jest wyłącznie pedagogicznym, jednakże za jeden z najważniejszych celów obrało sobie sprawy wychowania. Aby pożytecznie pracować w tym kierunku, należy koniecznie znać potrzeby i wymagania tych wszystkich, co się kształceniem młodego pokolenia zajmują. Stosunki i znajomości kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu ludzi, nie dają jeszcze dostatecznych wiadomości dla ocenienia, czego właściwie brakuje rodzinom i jakie one napotykają trudności w kształceniu swej dziatwy. Możemy znać potrzeby Warszawy, a nieznać potrzeb prowincyi, możemy oceniać, jak najdokładniej braki pewnego miasta lub okolicy, a nie mieć dokładnego pojęcia o stanie innych miejscowości kraju.

Posiadamy pewne stałe przekonania i zasady w zakresie pedagogiki, według naszego sposobu widzenia rzeczy odpowiednie dzisiejszym wymaganiom. Nie przypuszczamy, aby wszędzie ich zastosować nie można z małemi modyfikacyjami, wszelako chcąc jak najskuteczniej zaradzać brakom, i służyć sprawie wychowania potrzebujemy pomocy ludzi, których ta sprawa również gorąco jak nas zajmuje.

Nie jesteśmy nieomylni, mentorować nikomu nie chcemy, ale będąc blisko ogniska naszego umysłowego ruchu, łatwiej potrafimy zebrać odpowiednie wiadomości, udzielić żądanych wskazówek, dać opiniją o pożytecznym podręczniku, o metodzie nauczania, i tak dalej.

Podejmujemy się również pośrednictwa w zakupywaniu i przesyłce tak książek, jak innych pomocniczych materyjałów, słowem chcemy o ile możności ułatwiać pracę rodzicom, oraz nauczycielom i nauczycielkom prywatnym.

Wszakże nadzwyczaj często młody pedagog jest w kłopocie jakim sposobem najłatwiej nauczać można. Nie może on posiadać swej własnéj metody, doświadczeniem nabytej, brak mu i teoretycznego pod tym względem wykształcenia.

Wszakże najczęściej do domów prywatnych, biorą jako nauczyciela ucznia z gimnazyjum, rzadziej już studenta uniwersytetu, który z braku środków materyjalnych, jedzie na lat parę na tak zwaną *guwernerkę*, aby trochę grosza na dalsze kształcenie się zarobić. — Czy dla takiego nauczyciela nie są potrzebne wskazówki? Toż samo da się powiedzieć i o nauczycielkach prywatnych. Wiele młodych kobiet poświęca się temu zawodowi, wielę matek jest pierwszemi mistrzyniami swej drobnéj dziatwy.—Powołanie wielkiego znaczenia, nieobliczonéj doniosłości; gdyby tylko było należycie pojęte i umiejętnie wykonane.

W gronie młodych osób które probować gorzkiego chleba guwernantki z konieczności muszą, ileż jest takich, co nawet dosyć umiejąc i gruntowne posiadając wiadomości, nie potrafią należycie spożytkować swej wiedzy, z braku metody nauczania, z braku umiejętności przystępnego i jasnego wykładu.

Podręczników w ścisłym znaczeniu tego słowa nie posiadamy; wydawnictwo pana Jeskiego, jest pierwszym krokiem na téj drodze; spodziewamy się iż w niedługim czasie ów brak fatalny zapełnić się musi.—

Cóż ma zrobić nauczycielka? Udaje się ona do miasta posiadającego księgarnią, szuka potrzebnych książek, a nie mając w czym wybierać, nabywa to, co jest, choćby było najgorszym.

Jedyną wskazówką rada księgarza, a czy księgarz zawsze jest kompetentnym, czy nie-

ŚLADY ŻYCIA.

XXV.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Donosiliśmy w zeszłym numerze „Opiekuna”, iż staraniem naszej redakcyi, odbyły się w Lublinie cztery odczyty na korzyść towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. W dniu 7-ym czerwca miał miejsce 5-y z kolei odczyt p. Adolfa Suligowskiego, współpracownika naszego pisma pod tytułem „historyja i znaczenie pieniędzy.” Dochód czysty wynosi 39 rs.; osób było przeszło dwieście.

Czujemy się w obowiązku podziękować lublinianom za łaskawe przyjęcie i poparcie. Ludzi dobrej woli nie brakuje w tym mieście, ale brak komunikacyi i fatalne warunki miejscowe stają na przeszkodzie urzeczywistnieniu najlepszych pomysłów. Wiemy jednak to, że kilku młodych pp. kupców gorąco się zajęło sprawą szkoły handlowej, że zaprowadzono tam ściślejszy nadzór, pomyślano o zapełnieniu rażących niedostatków. Poparcie prezydenta miejscowego p. Wolińskiego, przyczyniło się do tak korzystnej dla młodzieży rzemieślniczej przemiany. Projekt resursy kupieckiej podano do zatwierdzenia właściwej władzy, a skoro przyzwolenie otrzymanym zostanie, nie wątpimy, iż w krótkim czasie Lublin posiadać będzie instytucyją tak nieodzowną dla każdego większego miasta—podobno w niedługim czasie ma powstać także kasa zaliczkowa, czy też stowarzyszenie wzajemnego kredytu, rzecz ta dla Lublina byłaby zbawienną, bo kapitaliści izraelskiego pochodzenia nadużywają swego monopolu, wyzyskując tak urzędników; jak klasę rzemieślniczą, obywateli ziemskich i lud wiejski. Ochronka w której pełnią bezpłatnie obowiązki nauczycielek niektóre z panien, pomimo nietaktownego postąpienia jednego z jej opiekunów, nie ustaje w swej działalności. Dowód to prawdziwie uczciwych chęci naszych kobiet obywatelek, które nie zrażają się przeciwnościami i niosą usługi chętne tam, gdzie dla dobra ogólnego pracować można.

Płeć piękna w Lublinie daje liczne dowody poczciwych dążeń, postępowych myśli.

Ruch umysłowy rozwija się i postępuje; chęć kształcenia się, chęć nauki na seryjo zajmuje młode główki, a nawet są jednostki myśląće o wyborze specyjalności, o rzemiośle, o zajęciu, coby chleb zapewniło na wypadek wszelaki... Obyjak najwięcej podobnych myśli krzewiło się w społeczeństwie kobiecym.

* * *

Czytelnikom naszym mamy do zakomunikowania wiadomość, obchodzącą kraj nasz bardzo blisko. W jesieni roku przyszłego 1874 otwartą zostanie w Warszawie *wystawa płodów rolniczych*, z dopuszczeniem do udziału w onej wystawców ze środkowych gubernij Cesarstwa, oraz wystawców zagranicznych.

raz dla miłego grosza, nie zaleci tego co nic nie warto?

Spojrzyjmy w oblicze rzeczywistości... Zwykle nauczycielka, polka rodem, powołaną bywa na tak zwane *dokończenie edukacyi domowej*. Poprzedniczka jej, bona francuska lub niemka, nie robiła sobie ceremonii, nie czyniła wysiłków. Nauczyła dziecko paplać, następnie czytać i pisać, zadawała „stąd, dotąd" wiersze i rozmówki; a historyi, gieografii, nauki przyrodzonych (jeżeli miała patent guwernantki, która takie rzeczy wykłada z urzędu), uczyła również zadając „stąd dotąd" i to z podręczników francuskich lub niemieckich.

Cóż pocznie nauczycielka której przypada z kolei, dalej rozwijać tak pięknie przygotowaną uczennicę?

Skąd zasięgać wiadomości i rady... Błąkając się bez przewodnika, zwłaszcza gdy jest początkującą, czy nie ponosi szkody sama, czy dziecko nie marnuje sił umysłowych daremnie? Gdyby zaś znalazła pismo, podające odpowiednie wskazówki, gdyby miała wykaz podręczników dla domowego kształcenia służących, wraz z sumienną oceną takowych, wiedziałaby co wybrać, gdzie czego szukać i jaką drogą najprędzej sprowadzić.

Tu przeto nasza pomoc mógłaby nieraz skutecznie zaradzić.

Starszy znów i doświadczeńszy nauczyciel, wytrawny w swym zawodzie, może znać wybornie wszelkie przeszkody i trudności jakie napotykał, może posiadać bardzo pożyteczne spostrzeżenia i pomysły, które wartoby drugim zakomunikować, wyjaśnić, obrobić krytycznie. List więc lub obszerniejszy artykuł przez niego napisany, byłby dla nas bardzo cennym nabytkiem, a ogłaszając pracę taką, zyskiwalibyśmy wszyscy. Zyskiwałaby przedewszystkim sama pedagogika, która obecnie jak i każda umiejętność, tylko na faktach i ściśléj obserwacyi, tak fizyjologicznych jak psychologicznych zjawisk opiera swe poglądy, gruntuje wnioski, tworzy metody i stosuje takowe w praktyce. Zbieralibyśmy przeto wspólnym trudem materyjał do własnej narodowéj szkoły ukształcenia młodych umysłów, do polskiej pedagogiki. Czy taka praca byłaby bez pożytku, bez celu?— Osądźcie łaskawi czytelnicy. Nie wątpimy, że w gronie matek, rodzin i nauczycielek naszych znajduje się wiele kobiet ukształconych, umiejących obserwować i zastanawiać się nad naturą dziecinną.— Jakąż by pożądaną było dla ogółu kwestyją czynić odpowiednie uwagi i spostrzeżenia, podnosić i rozbierać błędy i niedostatki wychowania, wykazywać zaradcze środki, kreślić obraz stosunków pewnéj okolicy i objaśniać jakby to najpożyteczniej w tym a w tym miejscu można sprawie kształcenia przychodzić z pomocą, podawać rękę!—Praca ta drobna, cicha, przyniosłaby nieobliczone korzyści, łatwiej byłoby nam dążyć do wspólnego celu, pomagając sobie wzajemnie, radząc i oświecając się wzajem.

„Ręka rękę myje" powiada stare przysłowie. W imię téj zasady odzywamy się do was szanowni czytelnicy i czytelniczki. Chętnie otworzymy w naszym piśmie osobną rubrykę, gdzieby pomieszczać można podjęte przez Was kwestyje, udzielać odpowiedzi, wskazówki, otwierać szranki polemice.

Wspierajmy się wzajem! Szczęśliwi będziemy jeżeli projekt nasz znajdzie poparcie, u ojców i matek, nauczycielek i nauczycieli. Węzeł sympatyi, jaki nas dotąd z gronem naszych czytelników łączy wzmocni się jeszcze, i silniej zawiąże, będziemy działać w imię jednych celów, w imię jednéj myśli przewodniéj....

Listy jakie z różnych stron kraju odbieramy, podnosiły już nieraz myśl podobną, i to nam daje niepłonną nadzieję, że głos nasz znajdzie poparcie i uznanie śród ogółu, co światła pragnie, i myśli o jutrze.

Będzie to „pomoc wzajemna." Czy nam jej ogół nie odmówi?.... Czas to pokaże.....

PRZED DOMKIEM BANKIERA.

Miasto! nędza z ciemnotą
Straszną groźbą dla ciebie!
To zakalec w twym chlebie,
Rdza co zjada twe złoto,
Czerw, co toczy twe domy,
Grom — śród twojej pogody,
Gość, co kiedyś kryjomy
Przyjdzie zmącić twe gody;
Noc co czycha za drzwiami,
Miecz, co wisi nad głową,
Pod twojemi stopami
Wulkan z paszczą ogniową,
Głos, co w ciszy urąga
I odgraża się srogo,
Ręka, co się wyciąga
Baltazarom z przestrogą!

Miasto! jeśliś nie w sile
Tę noc w światło przemienić,
Te wulkany zadmuchać,
Tę rdzę złota wyplenić,
Ten grom drżący zażegnać
Krwawej wziąć cię mogile;
Tego gościa odegnać,
I tej ręki posłuchać;
Miasto! lwa ty nie drażnij!
Wśród groźnego milczenia,
Nie mnóż wrogów nasienia,
Nie przybliżaj swej kaźni!
Klnę cię w imię Miłości!
Klnę cię w imię Bojaźni!
Chowaj zbytek i złoto
Przed oczyma chciwości;
Nie kuś nędzy z ciemnotą!
. . . .
Mimo żaru i krzyku,
Pod słoneczną pogodą,
Na wrzawliwym chodniku
Ani widać nikogo;
W jakiejś kurcie obdartej,
Z piersią nagą, schudzoną—
Stał wciąż człowiek oparty
O baryjerę złoconą......

Za baryjerą błyszczało
Wielkie okna zwierciadło,
Odbijając—to ciało
Tę twarz dziwnie wybladłą
Oczy, w których schowany
Tlił błysk cierpień i szału,
I te smutne łachmany
W swoim łonie z kryształu.

Szedł tłum gwarno i szumno,
Wśród wyścigów do chleba;
Nie zmrużając swych powiek,
Jakby martwą kolumną
Był tajemny ten człowiek,
Którą minąć potrzeba;
Lub przydrożnym kamieniem
Dobrze znanym zdaleka,
Który stał tu od wieka
I zrósł z tłumu spojrzeniem.

A nikt myślą nie spytał
Czemu patrzy w to okno?
Jakich marzeń po głowie

Do zajęcia się urządzeniem wystawy, utworzony będzie oddzielny komitet, który ułoży i w czasie właściwym odpowiedni program ogłosi. Z programem tym, skoro tylko się ukaże zapoznamy czytelników naszych.

Nie potrzebujemy dodawać, że w kraju, jak nasz rolniczym wystawa podobna ma bardzo wielkie znaczenie, i że cozatym idzie, ziemianie nasi bardzoby się też nią zainteresować powinni.

* *
*

Drugi tom historyi Anglii Macaulaya w polskim przekładzie wyszedł z druku, i tak pod względem zewnętrznej formy, jak i języka świetnie się przedstawia. Przekład prawie jest bez zarzutu: dosadny, płynny, tylko niekiedy archaizmami przepełniony. Za to rzecz sama, jak dla nas jest wysokiej wartości. Trzeźwy pogląd autora na dzieje może korzystnie wpłynąć nietylko na czytającą publiczność, ale i na samych historyków naszych. A przytym co za bogactwo treści, jaka pełność obrazu! Przed badawczym wzrokiem autora nic nie uchodzi, począwszy od kuchni aż do nauki wszystko tu z drobiazgową starannością opracowane. Drobiazgowość ta wprawdzie dla nas może nie mieć interesu, ale uczy przynajmniej, jak należy pisać dzieje. Oczekujemy z niecierpliwością dalszego ciągu.

* *
*

We wtorek dnia 10 b. m., na scenie teatru letniego w ogrodzie Saskim, przedstawiono po raz pierwszy jednoaktowy dramat duńskiego poety Henryka Hertz'a (w przekładzie F. H. L.) p. t: „Córka króla René." Postać hrabiego Prowancyi, zwanego królem René, członka domu Anjou bardzo niepoczesne w politycznych dziejach zajmuje miejsce. Jeden z ostatnich między drobnemi władcami trubadurów, usiłował on podobno całemi siły wskrzesić gasnącą prowansalską poezyją i słynne „dwory miłości" *(cours d'amour)*, a wprowadzając w czyn gorące marzenia, ustanowił nawet na swym dworze fikcyjnego księcia, zwanego „prince d'amour", niby najwyższego sędziego w zakresie erotyki i dworskiej galanteryi, sam zaś, mimo doznanych w zawodzie politycznym nieszczęść, przez całe życie na pasterza i poetę pozował. Jako postać zakulisowa, król René, wchodzi do układu drugiej sceny pierwszego aktu Dziewicy Orleańskiej Szylera, w której przyszły monarcha francuski Karol VII, niepomny na pustkę wyczerpanego skarbu, utalentowanych śpiewaków, posłów hrabiego Prowancyi złotem obdarzać każe.

W dramacie duńskiego poety król René występuje, jako ojciec ociemniałej od niemowlęctwa i przez szesnaście lat w zupełnej niewiadomości (!!) o swym kalectwie na ustroniu chowanej, Jolanty. W chwili rozpoczęcia sztuki zbliża się właśnie godzina, w której tajemniczy arab Ebn-Jahija, pod hasłem: „dziś, albo nigdy!" ma dokonać dawno obmyślanej operacyi. Przedewszystkim więc żąda, aby nieszczęśliwej odkryto czymprędzej tajemnicę. Ojciec nie zezwala na to; lecz pod nieobecność domowników, dwaj rycerze wchodzą do obwiedzionego murem gaju, a ich śpiew i rozmowa z Jolantą staje się dla niej pierwszym, choć niezrozumiałym jeszcze wyjaśnieniem smutnej prawdy. Ojciec i lekarz dokonywają reszty; Jolanta wzrok odzyskuje, a rycerz—poeta, Tristan de Vaudemont zostaje mężem uroczej hrabianki. Taką jest treść dramatu. Cel poety jasno tu wytknięty. Chciał on przedstawić stan ludzkiego umysłu i skarbnicę mowy, w którejby się cała poezyja życia mieściła, z wyjątkiem tylko wrażeń, uczuć i myśli, przez pośrednictwo światła i przy pomocy wzroku płynących do duszy; chciał odtworzyć legiendowy typ piękności ociemniałej a nie wiedzącej

Tej przesuwa się włókno?
Czemu mocniej pobladnął?
Czemu zębem zazgrzytał,
Mruknął, urwał wpół słowie?
Nikt nie pytał.... bo zgadnął.

Przed tym oknem oddawna
Iluż takich już stało,
Z martwym okiem i słuchem?...
Ileż myśli tu wziętych
Przystroiło się w ciało,
I brząkało łańcuchem,
Idąc tędy, jak mara,
Z krain wiecznie przeklętych?...

Rzecz wcale nie zabawna,
I historyja to stara!
Więc mijali spokojnie
Dobrzy ludzie tę postać;
Jeden tylko chciał zostać,
I przypatrzeć się wojnie,
Którą ciemne sumienie
Z pokuszeniem tu wiodło;
I zobaczyć jak źródło
Zasilają strumienie,
Jak z tych oczu przyćmionych
Do téj szyby kryształnej
Bije promień zapalny
Żądz i marzeń szalonych!

Za tym oknem, za kratą,
Z twardych ogniw stalową,
Rozłożyli kramarze
Swą przynętę bogatą.

Więcej, niźli wyśnili
W snów gorączce Łazarze,
Więcej niźli naiwna
Baśń utworzyć się sili,
Niż ogarnie wybladła
Żądza w ręce swe drżące,
Rzeczywistość tu kładła,
Jak baśń bujna i dziwna
A prawdziwa,—jak słońce

I przed skarbów tych blaskiem,
Jak przed światłem piorunu,
Jak nietoperz przed brzaskiem
Zmrużył oczy ten człowiek;
Potym cicho wyjrzała
Dusza jego spod powiek,
Jak letargnik z całunu,
Senna jeszcze, drżąc cała.

I wraz! w świetle jaskrawym
Błyskawicy tej żywej,
To co było snem tylko,
Odtąd stało się jawem.
Cała ciemność tej duszy
Zapłonęła czerwono;
Wszystkie tajne porywy,
Które warczą przed prawem,
Nieświadome przed chwilką,
Wstały z wrzawą szaloną.

To, co z głodu katuszy
Z rad się czarnych wykluło,
Krzywda która zapadła
W pamięć dotąd nieczułą;
Wczoraj jeszcze bezwiedna
Przepaść myśli—bezedna,
Prąd bez tamy i wiosła,
Sfora pragnień zajadła,
Wczoraj jeszcze bez głosu,
Dziś, z ciemności chaosu
Pełnoletnia wyrosła!

Ach! z tą straszną nawałą,
Ktoś do walki się stawi;
Na tej twarzy się jawi
Jakiś promień nieśmiało!
Któryż będzie to z głosów?
Może słowo pacierza
W jego duszę uderza?
Może bojaźń niebiosów
Kreśli obraz kar srogi?
Może wyraz przestrogi,
W księdze świętej zawarty,
Albo słodko nań z ciszy
Znany matki głos woła,
Lub wstyd, mrący w swej dumie?

Nie, on matki nie słyszy,
Wzrósł jak w polu krzak ostu,
Nie, by wejść do kościoła
Był zbyt zawsze obdarty.
Nie—on czytać nie umie...

. . . .

Zląkł się kajdan i postu!

Zląkł się, odszedł na chwilę,
Lecz ma duszę schwytaną;
Jutro przyjdzie znów rano
Spadnie więcej na sile;
W noc go będzie łamała
Moc pokusy bezbożna,
A po jutrze nie wróci...
. . . .
Wiem, gdzie znaleść go można!

Wł. Ordon.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

Hrabia wróciwszy zastał Elodyją jeszcze słabą.—Brak sił, nieco gorączki—częste spazmy i ciągłe prawie zmiany kolorów na twarzy—zatrwożyły go nawet i chciał posłać po doktora, lecz Elodyja z uporem dowodziła, że jej nic nie jest!—Władysław zrobił wtedy pewne przypuszczenie powodu choroby—lecz gdy go udzielił żonie, ta się spojrzała nań z wyrazem takiego przestrachu i nienawiści—że mimo roztargnienia w jakim teraz ciągle pozostawał, aż się cofnął i zastanowił.

Pierwsze zetknięcie się z Emanuelem było przy mężu. On powitał ją jak zazwyczaj—więc i ona śmielej troszkę głowę podniosła.—Mało słów z sobą zamienili. — Na twarzy Elodyi coraz wyraźniej rysowała się niezłomna wola i stanowczość. Innym razem byłoby to zwróciło uwagę hrabiego—teraz zanadto był zajęty i nieuważny. Odjeżdżając, napisał do Beaty z solennym zaklęciem, aby nikomu nie odkryła tajemnicy.—Był więc niby pewnym, że nikt się nie dowie—a jednak niepokój ścigał go we dnie i w nocy—czuł niezadowolenie i niesmak wewnętrzny—zamyślał się, i nawet nieznacznie wzdychał z głębi piersi. Coraz smutniej i ciszej było w Radlińskim pałacu — choć ta cisza, zbyt nagła i nieprzerwana, kazała domyślać się bliskiego wybuchu burzy. — Długie godziny wlokły się tam, jak ołowianej barwy chmury po listopadowym niebie—na pozór nic się nie zmieniło—każda z trzech mieszkających obok siebie osób, kryła zwykłym uśmiechem uczucia miotające sercem—każda zostawszy sama z sobą, oddawała się wyłącznie zajmującemu duszę przedmiotowi.—Sama z sobą, Elodyja wybuchała szaloną gwałtownością i rozpaczą—hrabia Władysław niechęcią i gniewem bezsilnym przeciw samemu sobie—Emanuel w smutnych tonął myślach i pracował coraz

---

o swym kalectwie dziewicy, i postać tę, przez stopniową gradacyją scenicznych efektów, natchnąć wiedzą o nieznanej sile i w nieznany kraj światła wprowadzić. Zadanie to, wpadające poniekąd w zakres psychicznej patologii, wytworzyło wdzięczną w pojedyńczych obrazach sielankę, do której najpiękniejszych ustępów należy dyjalog dwojga kochanków i ostatnia scena przewidzenia. Charakterów tu nie ma żadnych, rozwój sytuacyi wyłączny i jednostronny, a wiejący w utworze duch odległej chwili dziejowej, obcym jest zgoła i miejscu i czasowi w którym żyjemy. Pomimo to, wytworny przekład p. Lewestama oraz cudowna gra p. Modrzejowskiej (Jolanta) przy współudziale Stolpego (hrabia Prowancyi) pozwolą pewno, aby „Córka króla René” była choć w znacznych odstępach czasu przedstawianą i doznawała należnego na naszej scenie uznania. Akcesoryjne role dramatu przedstawiali z powodzeniem pp. Rapacki, Tatarkiewicz, Chęciński i p. Niewiarowska; p. Krogulski natomiast w roli Bertranda i p. Stankiewicz w roli Almeryka grzeszyli niekiedy (szczególniej pierwszy) bardzo niepoprawną dykcyją i graniczącemi ze śmiesznością ruchami.

* * *

Już przed dwoma laty Dr. Frankl, dyrektor izraelskiego instytutu ociemniałych w Wiedniu powziął projekt urządzenia podczas wystawy wiedeńskiej zjazdu dyrektorów i nauczycieli instytutów dla ociemniałych. Projekt ten na zasadzie otrzymanego od zwierzchniczej władzy zezwolenia w miesiącu sierpniu r. b. wchodzi w wykonanie. Cel kongresu przy powzięciu projektu określony, polegałby na rozpowszechnieniu pisma ociemniałych, powiększeniu i ujednostajnieniu ich biblijotek, zawiązaniu redakcyi rocznika, mającego przedstawiać interesy ociemniałych, wreszcie na wyznaczeniu konkursu na dzieło traktujące o psychologii i patologii ociemniałych. Do spraw, któremi zaproszeni na kongres mają się zajmować, należy również kwestyja znaczenia muzyki dla ociemniałych.

Wszystkie prawie znaczniejsze instytuty jednomyślnie i bez zwłoki przyjęły zaproszenie (Berlin, Frankfurt nad Menem, Hamburg, Kiel, Królewiec, Kopenhaga, Lipsk, Neukloster, Nürnberg, Wiesbaden, Wrocław, Warszawa) w skutku czego sformowany w stolicy Austryi komitet kongresu, zaprosił na prezydenta Frankla i rozesłał w początku bieżącego roku zapraszające listy. Zakres działań kongresu ma wszechstronnie obejmować specyjalny swój przedmiot. Obok sali posiedzeń będzie uorganizowaną wystawa pomocy naukowych dla ociemniałych, a różne kwestyje pedagogiczne mają w oddzielnych odczytach obszerne znaleść uwzględnienie. Oprócz wspomnianych wyżej, następne pytania na kongresie rozstrzygane będą: jakie są przyczyny, że dotąd ogólnych praktycznych rezultatów z wychowania ociemniałych nie otrzymano; jaki powinien być zakres nauczania ociemniałych; co potrzeba czynić, aby ociemniałego z jego losem pogodzić; co stanowi charakter ociemniałego, jakie są najodpowiedniejsze środki karności ociemniałego; co przemawia za odłączeniem dziewczyn od chłopców w szkole; co utrzymywać o małżeństwach ociemniałych; o ile ociemniały samodzielnym jest w pracy ręcznej. Przekonywać czytelników o doniosłości podobnego kongresu uważamy za zbyteczne; w swoim czasie postaramy się szczegółowe o nim dać sprawozdanie. Obecnie nadmieniamy tylko, że z warszawskiego instytutu delegowanym został przez ministeryjum dyrektor Papłoński i ze strony Instytutu dwaj nauczyciele: Szymański i mag. fil. Wł. Nowicki, na co już osobiste zaproszenia i bilety wejścia na kongres, mające się odbyć 3, 4, 5 i 6 Sierpnia otrzymali.

* * *

usilniej.—Wszyscy razem jednak znaleźli jakiś stereotypowy uśmiech i frazes, aby się nim oszukać wzajem—jakiś wysiłek dowcipu aby usprawiedliwić wesołość wymuszoną i rażącą fałszywym oddźwiękiem. — Patrzący zwyczajnemi oczyma, nie dojrzeliby tej walki wewnętrznej, toczonej w piersi osób, napozór w bardzo powszednich a szczęśliwych warunkach wiodących życie. Zbytek ich otaczał, mieli wszystko na swoje usługi—świat przyjaźnie wyciągał do nich dłonie—roskosz i zabawa były im przystępne—ha! i czegóż brak do szczęścia?.. Ba! niestety! zawierz mi! luby czytelniku, że gdzie są wszystkie pozory, najczęściej nie ma prawdy! — Gdzie ujrzysz wieczne zadowolenie narysowane na twarzy fałdami ustawicznego uśmiechu— badaj — a odkryjesz, że usta te niedawno drgały łkaniem bolesnym. Gdzie oczy przymknięte, głos przyciszony—tam szukaj wybuchów i łatwości uśmiechu. Gdzie Bóg wciąż na ustach—całe piekło w sercu. Ciągłe łzy w oczach, najniezawodniej zniszczą wszelki zaród litości w duszy. Anielska minka zdobi najzwyklej szaloną złość, niewinny układ kryje brudną i niską zalotność—erudycyja, płytkość nauki jak gęsta zasłona okrywa.

Dawno już widzieliśmy okrągłą postać księcia Karmelka, który nie straciwszy nic z swej objętości, szwankował coś na humorze, co było u niego rzadkim zjawiskiem.— Prawdopodobnie przyczyna do tego była czysto żołądkowa, książe Karmelek nie mógł żyć bez łakotek, smacznych i słodkich rzeczy i nawet zastosował do tego upodobania system przepędzania swego czasu. Po rannej kawie wypitej w domu, wychodził do najbliższej cukierni na herbatę, przejadłszy potym kilka ciastek, wychodził na ulicę, aby przejść się trochę dla strawności i spotkać kogo znajomego; lubiąc rozmaitość, coraz w inną udawał się stronę. Mając nader liczne stosunki, zawsze znalazł jakiegoś nowego przybysza, znanego mu z dawnych czasów— z którym po serdecznym, ale zawsze z tonikiem książęcym zrobionym powitaniu, uczuwał jakieś mdłości, zimno lub gorąco, tak, że trzeba było koniecznie wstąpić do cukierni na ozdrowienie i przekąskę.—Potym gawędził chwilę i pożegnawszy towarzysza, wracał do domu, wybierając tak daleką drogę, aby nie wcześniej przyjść, aż na godzinę objadową, bo zwykle zadysponowawszy w wigilię co będzie jadł, zostawiał objad staraniom służącego, znakomitego kucharza. Po objedzie drzemał dwie godziny—pił kawę— następnie ubierał się i wędrował po mieście, wstępując do owocarni, do cukierni, to znów do winnego handlu, robiąc w kieszeni małe zapasiki, które w przejściu od jednej do drugiej ulicy, zjadał ukradkiem. Coraz to kogoś spotkał, pogadał—pośmiał się i schodziło.— Wieczór szedł do teatru na komedyję lub balet—dramatów nie znosił—śpiewu nie lubił także.—Po kolacyi, gawędzie, szedł na spoczynek, uśmiechnięty i zadowolony.—Taki był tryb życia codziennego księcia Karmelka, ale często, przy większej pokusie, rozrachowany a niewielki stosunkowo do apetytu procent, przejadał się prędzej niż należało —wtedy, przemyślny książe Karmelek, posyłał do Emanuela zaproszenie na poobiednią kawę, i żądał od niego pieniędzy, które prawie zawsze dostawał od dobrego syna. Lecz teraz, Emanuel wyjechał—pugilares ku końcowi roku stawał się coraz lżejszy, a książe uczuwał pewną niespokojność i głęboka go poczęła opanowywać melancholija.

Jednego popołudnia, tylko co po wypiciu kawy, zamiast pójść na zwykłą przechadzkę, wytłumaczył sobie, że deszcz i zimno—i usiadłszy na fotelu z biegunami, zaczął rozmyślać, marzyć, a w końcu kiwając się lekko —zasnął.—Śniło mu się coś przyjemnego, bo poruszył wargami smakując, i niesłyszał nawet pukania do drzwi, które sługa otworzył, a potym przybycia niespodziewanego gościa. —Gość ten, piękna elegancka pani, zatrzymała się przed nim, przypatrując się jego, cokolwiek komicznie ułożonej fizyjognomii— wreszcie sprzykrzywszy sobie jednostajne lekkie chrapanie, dotknęła wachlarzem jego ramienia, wołając:

— Książę Marceli!

Zbudzony, zerwał się, spojrzał, przetarł oczy—znów spojrzał, i znów zabierał się do tarcia.

— Nie poznajesz mię pan?

— Tam do diabła! Śpię, śnię, czy majaczę do licha?... wołał trąc oczy książe Karmelek.

— Eh! nie śpisz pan! przypatrz się tylko— poznajesz mię książe?

— Dalipan! Albo mam maligne, albo to hrabina Ruszczyc!

— Ja sama moje książątko!—Cieszę się żeś oprzytomniał!

— Ale skądże się tu pani wzięłaś?

— Grzeczny! — Przyjechałam do ciebie z wizytą mój książe!—Ślicznie mnie przyjmujesz! Wstydź się!

— Moja królowo! cóż to za honor, zaszczyt, błogosławieństwo dla mnie!—A jaka młoda, świeża i piękna!—Ot! jak wówczas gdyśmy....

— Gdyśmy się kochali!—dokończyła szyderczo hrabina.—Dawno to minęło—dziś jesteśmy już staremi tylko przyjaciołmi, i dla tego ja przybyłam do księcia.

Karmelek ucałował jej rączkę, i kwadrans potym prawiono sobie wzajemne komplimenta, natrącając o przeszłości, w czym książe okazał więcej dziewiczej skromności, niż wyjawiająca głośno i cynicznie swe myśli hrabina Ruszczyc.

Rozmowa skierowała się do teraźniejszości —ujęty i oczarowany pięknością niegdyś kochanej kobiety Karmelek, rozpływał się z radości, że tak mile czas przepędza, i raz po raz całował białe zawsze rączki, z prawdziwą przyjemnością.

— Poznałam pańskiego syna u hrabiego Władysława, gdzie jest *biblijotekarzem*. On! Wiśniowiecki!—

Książe westchnął żałośnie.

— Nie mogłam uwierzyć abyś ty na to mój książe pozwolił!—Śliczna karyjera dla potomka sławnej rodziny! — mówiła z oburzeniem hrabina.

— Nie mogłem go od tego odwieść niestety!

— Posłuchaj mój książe! Rozpaczne postanowienia tego chłopca mają swoję podstawę—zaniedbałeś go, nie dałeś poznać familii —więc nie dziw, że się rzucił na oślep.

— Ależ droga hrabino! Proponowałem mu aby jechał do mego ciotecznego brata, dawałem pieniędzy.—Nie chciał!—inna to przyczyna tego całego nieszczęścia!..

— Co?.. Mów z zaufaniem—przez pamięć na przeszłe czasy, interesuje mię twój syn, panie Marceli!

— Mille grâces! kochana hrabino!—A więc mój syn się kocha!

— Eh! to przecież bardzo naturalne! Un jeune homme de vingt ans!

— Ah! kiedy to teraz inne czasy!—Dawniej kochano się ustawicznie, miłość była na

---

* * *

Zakorzenione przesądy w elementarnym nauczaniu acz powoli znikają przecież, dając miejsce metodyce racyjonalnej, opartej na zasadach psychologii i stwierdzonej doświadczeniem umiejętnych pedagogów. Nie przeczymy, że zerwanie z rutyną nie jest bynajmniej rzeczą łatwą; tym większa też zasługa tych, co mimo napotykanych trudności nie zrażają się niemi i szukają dróg nowych. Z naszej strony dopomagamy jak najchętniej wszelkim podobnym usiłowaniom.

Obecnie właśnie chcemy zrobić pewne ułatwienie tym, którzy pragną przy uczeniu czytania zerwać z dotychczasową zwykłą metodą tak zwanego sylabizowania. Odebraliśmy w tej materyi w ostatnich czasach kilka listów z prowincyi.

Oto co piszą w jednym z nich: „Słyszeliśmy, że podobno można nauczyć czytać w 24 lekcyjach, słyszeliśmy coś z gazet o Konstantynowiczu, Kamińskim, o metodzie ks. Bujakowskiego, nie wiemy przecież jak się do tego zabrać, bo nie mamy żądnych porównawczych wskazówek, a dzieci nasze męczą się jak i dawniej po parę lat zanim jako tako czytać zaczną“.

W innym liście czytamy: Podjęłam się uczyć w ochronie—wszystko dobrze, ale najgorzej z czytaniem, męczą się dzieci, męczę się i ja z niemi, powtarzając aż do czoła potu *k, l, a,—kla, k, l, e,—kle* it. d. Próbowałam niby trochę inaczej — i to nie wiele pomaga. Czyby nie można na to co poradzić?“ Można szanowna pani i trzeba koniecznie. Rada bardzo prosta i chętni znajdą ją wyczerpująco przedstawioną w pracy Jana (Maurycego) Kamińskiego (obecnie członka naszej redakcyi) wydanej w r. 1868 p. t. „*O sposobach uczenia czytać, a w szczególności o metodzie doraźnego czytania.*“ Praca, o której mowa, prócz wstępu, który także zasługuje na uwagę, dzieli się na 3 rozdziały. Rozdział I-szy traktuje w ogóle o nauczaniu poglądowym, rozd. II-gi podaje historycznie wiadomość o najważniejszych metodach przy nauczaniu czytania; rozdział III-ci, nakoniec szczegółowo przedstawia metodę tak zwanego *doraźnego czytania* uważaną przez autora za najlepszą. Musimy dodać, że autor wypróbował ją praktycznie w kilku zakładach naukowych. Krytyka w swoim czasie, bardzo przychylnie, a nawet z zapałem przyjęła pracę p. Kamińskiego, mimo to nie sprawiła ona w dotychczasowej praktyce pedagogicznej takiego wyłomu jakiegoby życzyć należało. Dowód jak trudno zwalczyć zastarzałe przyzwyczajenia. Obecnie zachęceni wyżej wspomnianemi życzeniami, pragniemy wzmiankowaną metodę o ile możności rozpowszechnić, a wszedłszy w stosowną umowę z autorem *dwieście* egzemplarzy książki p. t. „*O sposobach uczenia czytać*“ możemy na żądanie rozesłać naszym prenumeratorom *bezpłatnie jedynie za przesyłką marki pocztowej.* Rzecz prosta, że pierwszeństwo będą mieli ci, którzy się najwcześniej zgłoszą.

* *

P. Augustyn Szmurło Inspektor Gimnazyjum drugiego w Warszawie, na zasadzie zezwolenia Kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego otwiera w mieście naszym w miesiącu Sierpniu r. b. przy ulicy Długiej, w domu zwanym Potkańskie, szkołę prywatną cztero-klasową, w zakresie progimnazyjów męskich z klasą przygotowawczą i pensyjonatem.

* *

Do dzisiejszego numeru Opiekuna, dołączamy prospekt na dzieło p. t. „*Wystawa Wiedeńska Ilustrowana*”. Dzieło to, którego część literacką przyjęła na siebie nasza Redakcyja — wychodzić zacznie od d. 1 Sierpnia. Cena jego dla prenumeratorów naszych znacznie obniżoną została.

porządku dziennym, ale mogła każdego miesiąca zmieniać przedmiot, i to wcale uczuć nie osłabiało! Byliśmy tkliwi na wdzięki kobiece i wielbiliśmy uznane piękności, bez zaślepienia przecież, że może się znów znaleść młodsza i więcej godna pochwały istota, na którą przenosiliśmy gorący nasz afekt. Przyznaj sama chère comtesse, że to logiczne a czułe. Dziś, młodzież, albo się wcale nie kocha, pozbawiona zupełnie delikatnych uczuć, goni za groszem jak żyd spekulant—albo jeśli się pokocha—zgłupieje z kretesem, nikogo nie widzi prócz swojej lubej, i myśli się zaraz żenić.— Do tego gatunku niebezpiecznych manijaków, nowotworów, należy mój Emanuel!

— *Sattise!* któż to zajął jego poetyczne serce?

— Ah! dotykasz pani rany mego serca!— zawołał książe Karmelek obejmując z miną bolejącą obiema rękami swój brzuszek mocno wystający—był to giest, zastępujący poetyczne wskazanie lewego boku, gdzie miało się znajdować zranione serce.—Ale że dosięgnąć i domacać się boku było niepodobieństwem—książe Karmelek zatrzymał z czułością rozdrażnioną obie dłonie na tym środkowym a kardynalnym punkcie jego istoty fizycznej i moralnej.

— W kimże się tak rozmiłował?

— Pani!—W dziewczynie bez nazwiska, zarabiającej na życie, w stolarczance—Beacie!..

— Jakto?—w tej ładnej zalotnicy?

— No! co do tego, to chyba nie!

— Ale ja ją znam! Niczym się nie odróżnia od innych!—chyba pozorem świętoszki!— Ha! ha!—winszuję ci synowej!

— A! niech mię Bóg broni,—jęknął Karmelek.

— Bóg nie obroni, bo co Mu tam do tego! ale ty książe broń się, bo to nie do zniesienia! Hors de critique!

— Nie do przeżycia!—Ja gotów jestem zachorować ze zmartwienia! lamentował wzdychając.

— Byłaby to wielka szkoda! Tak ślicznie wyglądasz, jak różyczka!—rzekła z ironiją hrabina.

— Ah! najdroższa hrabino! cierpię jednak bardzo!

— Mam nadzieję, że nie spuścisz się na los, bo byłoby to niedodarowania niedołęstwo i wyperswadujesz synowi podobne ożenienie.

— Cóż na to zrobić?

— Teraz jeszcze nic—ale za parę tygodni, kiedy jej sprawki staną się głośne, doniesz mu to wszystko, dodając, że wyrzekniesz się go, jeśli zaślubi podobną kobietę!

— Ale—kiedy—co do sprawek.

— Pamiętasz scenę w cukierni?

— Ah! kiedy ona—zdaje się—była niewinną?

— Niestety! zdaje ci się tylko!

— To niepojęte! *(d. c. n.)*

SŁOWIANIE I NIEMCY.

(Ciąg dalszy).

Pan Landau w całej wschodniej połowie Niemiec aż w głąb Turyngii zachodząc, widzi niewątpliwe ślady, że tameczna ludność wiejska jest pochodzenia słowiańskiego. Dowody tego znajduje w budowie wsi, domów, urządzeniu gospodarstwa i t. d. Potwierdzałoby się więc to, co Herder przeczuwał, głosząc, że Słowianie dali średniej Europie rolnictwo i przemysł, że oni nauczyli hordy wojownicze i wałęsające się, spokojnej sztuki chodzenia koło ziemi, i z zapałem też wysławiał tych cichych pracowników. Zaiste i z tego stanowiska należałby się szczepowi naszemu tytuł do jednej więcej zasługi w sprawie cywilizacyi.

Jeżeli Niemcy w zniknięciu północno-zachodnich słowian widzą tryjumf kultury, to niemniej mocnym jest w nich przekonanie, że i reszta słowiańszczyzny cywilizacyją swoję im zawdzięcza. Zdanie to nierzadko i u nas za dobrą monetę bywa brane. Jeżeli bacznie porównamy obraz życia pogańskich przodków naszych ze współczesnym światem giermańskim, spostrzeżemy, iż pierwsi mieli więcej zadatków uobyczajenia niż sąsiedzi. Obcy wpływ zbił słowian z drogi, która prosto wiodła do prawdziwej cywilizacyi; naśladownictwo, owa główna ich wada, było powodem upadku wielu pięknych urządzeń i obyczajów, a natomiast dało im kastowość, militaryzm, okrutną procedurę średniowiecznych sądów i t. p. W ucisku prostego ludu, słowianie zapatrywali się na zjawiska powszechne u cywilizatorów swoich i na tym polu nigdy nie dorównali wzorowi swemu, a jednak jest to zwykły temat wyrzutów im robionych. [1]) Wszystko, co było rzeczywiście postępowym w tym, co Giermanie Słowiańszczyźnie dali, nie było oryginalnym duchą ich wyrobem, było pozostałością starożytnego świata, ocaloną przez chrześcijaństwo, a w szerzeniu chrześcijaństwa mają oni może daleko mniejszą zasługę niż inni cudzoziemcy. Ci ostatni do tego spełniali swoje zadanie bezinteresownie, gdy tymczasem apostołowie niemieccy przynosili z ewangeliją zależność polityczną i często srogą niewolę.

Oddając cześć rozkwitowi przemysłu i handlu, jaki był skutkiem zaludnienia miasta przez przybyszów— nie trzeba zapominać, iż i wprzódy obywatelstwo rodzime prowadziło rozległy handel i przemysłowi się oddawało i to wcześniej nawet niż w samych Niemczech—i że obcy żywioł plenił się po miastach z ujmą krajówców, a nie wchodził bynajmniej na pole puste i niezajęte. Hordy tych samolubnych spekulantów rzucały się na miasta już to w skutek fałszywéj polityki wyrodnych monarchów, jak w Czechach, już też korzystając z klęsk narodowych, z opustoszenia miast przez najazdy Tatarów jak w Polsce. — Sądzimy więc, że głębsze wniknięcie w dzieje przekona nas, iż Słowianie przynajmniej zachodni wystąpili na widownią historyi nie zmniejszémi zadatkami cywilizacyi niż Giermanie, że do jednych i do drugich oświata płynęła z tegoż samego źródła z klasycznéj Italii, że długi czas rozwój oświaty u Czechów np. dorównywał niemieckiemu—a był nawet czas kiedy Czesi stali niewątpliwie w przedniej straży kulturyipostępu.[3]) Zwycięstwo Niemców było raczéj stłumieniem cywilizacyi u Słowian, gwałtownym ich ściągnięciem z drogi rozwoju, a nie rzeczywistym postępem. Śmiało powiedzieć można, że jeśli wyniszczeniu Polabian ująć trzeba wiele doniosłości cywilizacyjnéj, jaką mu przypisują, to i pokonania Czechów i Słoweńców przez Niemców za zysk cywilizacyi uważać niepodobna. Mimo wszystkich wysileń nie potrafili oni strawić w sobie ni jednych ni drugich—ale tylko odparli ich z drogi samodzielnego postępu i wtrącili w omdlenie, w sen duchowy—z którego ich dopiero praca około narodowości obudzać zaczęła. Co zyskali Słoweńcy przez tysięcoletnią podległość

[1]) Wiele praw, zmuszających lud do pewnych obowiązków względem panów, jest kopiją odnośnych praw giermańskich, wiele nadużyć, jak i sama instytucyja w Niemczech początek wzięło.

[3]) O czasach Karola IV mówi Eneasz Sylwijusz; „Nie było w owym czasie żadnego państwa, któreby się z królestwem czeskim równać mogło."

Niemcom?.. — lud, zaniedbany tyle wieków nawet budowania porządnych chat się nauczył [1]) a w poniemczonych miastach nigdy sztuki i nauki nie kwitnęły, gdy tymczasem sąsiednie dalmackie miasta wolne lub od Włoch zależące, szczyciły się świetnym rozwojem poezyi i sztuki. Również niewątpliwą jest rzeczą, że przewaga żywiołu niemieckiego w Czechach wywołała nieporównanie więcéj ujemnych niż dodatnich skutków. Między krzewicielami kultury znajdzie wielu fanatycznych jezuitów, niszczycieli heretyckich książek, feudalnych panów, słynnych z ciemięstwa i serwilizmu, nadętych a płytkich mieszczan, ale bardzo mało ludzi pożytecznych nauce lub sztuce. Z prozelitów téj kultury wyszła owa plaga państwa, tłumy powolnych narzędzi biurokracyi austryjackiej, co przynosiły najniesłuszniej hańbę całemu narodowi. Nic dziwnego więc, że gdy Czesi i Słoweńcy po wiekowym upadku podnosić się i budzić zaczęli, poznali, jak daleko wtyle za całym zostali światem i poczuli potrzebę chwycenia się energicznie nowych dróg, by za postępem ludzkości podążać. A jednak z jakąż czelnością prasa niemiecka stara się przekonać Europę, iż usiłowania narodowców czeskich i słoweńskich są zamachem na cywilzacyją, są ciążeniem ku barbarzyństwu i ciemnocie.

Wielka misyja przypisuje się owym tak zwanym *kulturträgerom* t. j. hałastrze rozłażącéj się po całym świecie w pogoni za chlebem. Zdaje nam się, że co lepsze i zdolniejsze nie potrzebuje swego kraju opuszczać, że łatwe zrywanie dla materyjalnych widoków z miejscem rodzinnym, przywiązanie do którego jest najnaturalniejszym w świecie uczuciem, nie daje chlubnego o charakterze świadectwa, stąd nie możemy mieć wcale wiary ni w tych przybyszów, ni w to, co przynoszą. Rzeczywiście mogą nieraz oni dawać impuls w przemyśle i handlu, ale zarazem wnoszą pierwiastek samolubstwa i oschłości uczucia, oraz zwyczaje takie jak knajpowość, despotyzm ojca w rodzinie i t. d. co wszystko na miejscową ludność dobrego wpływu nie wywiera. [2])

Nikt zapewne nie myśli zamykać oczu na ogromne zasługi Niemców na polu nauki. Nikt nie zaprzeczy, że ilościowo najwięcéj bogacą oni dziś skarbnicę wiedzy—jakościowo zaszczyt ów muszą podzielić z Anglikami i Francuzami. Nikt także nie wątpił o ubóstwie naukowéj literatury słowiańskiej w porównaniu z milijonerką sąsiadką— i dziwnym może się wydać, iż np. Czesi, potomkowie tych, co wydali z siebie takich myślicieli jak Tomasz Sztitny, Hus i Komeński, dziś spadli do tak podrzędnego stanowiska. Jednakże wyciągać stąd wnioski o niższych zdolnościach plemienia, jak to lubią czynić Niemcy, byłoby bardzo niesłusznym. Stawmy się w położeniu obu narodów, porównajmy pomoce i środki, jakiémi władają, a w tedy przestaniemy litować się nad względnym ubóstwem Czechów, a raczéj podziwiać będziemy, że w tak trudnych okolicznościach i oni uczonych mieć mogą. Pominąwszy samo poparcie z góry idące, w Niemczech mnogość uni-

[1]) Między innemi historyk Weiss, autor wielce rozpowszechnionego i chwalonego podręcznika, nie wacha się podnieść tych poszukiwaczy chleba do godności historyczno-cywilizacyjnego czynnika. Ciekawą byłoby rzeczą jak Niemcy tłumaczą fakt, że dzieci i wnuki tych apostołów, a często nawet sami ojcowie asymilują się do *gatunkowo niższéj* narodowości;—czytaliśmy utyskiwania, (pamiętamy szczególniéj bardzo komiczną jeremijadę w *Ausland* roku 1870 w Czerwcu czy w Lipcu umieszczoną); ale z wytłumaczeniem faktu spotkać nam się nie zdarzyło.

[2]) Chaty we wielu wsiach słoweńskich dotąd jeszcze kominów nie mają, tak jak w ogóle w południowéj Słowiańszczyznie.

wersytetów, biblijotek, muzeów i t. d. daje punkt oparcia dla ludzi nauki i pozwala im oddać się całą duszą swemu zajęciu. Czeski uczony ma bardzo zacieśnioną karyjerę— troska o chléb powszedni nie jednemu czas i siły odbiera, a jednak i w XIX wieku wydał zgnębiony naród mężów takich jak Szafarzyk, Purkinie, Palacki, Erben, Iireczkowie i inni, którym nawet najzawziętszy Niemiec poważnego miejsca w świecie naukowym nie ośmieli się odmawiać. A ileż tam zdolności i dobrych chęci zmarniało dla braku podstawy materyjalnéj—iluż znowu Słowian, nie widząc przed sobą żadnych widoków, poświęciło swe siły literaturze obcéj. Zaiste niepojętą jest rzeczą, że Niemcy, jak chciwy bogacz wydzierający ostatni grosz ubogiemu, zabierają sobie słowiańskich mężów. Dziwno to bardzo, że tyle lat walczyli o rodowód Kopernika, że Komeński figuruje u nich jako niemiecki filozof, Wit Stwosz jest dlanich tylko Norymbergskim rzeźbiarzem, a sławni czescy malarze z XVII w. Szkreta, Brandl i Kupecky stoją w rzędzie niemieckich artystów. [1]) W przekonaniu wielu Niemców, nauka jeśli nie w całéj to przynajmniej w środkowéj Europie jest niemiecką z ducha, a Słowiańskich uczonych należy koniecznie wcielić w te szeregi, które oni, na podobieństwo dzieci bawiących się w żołnierzy, tak lubią ustawiać.

(d. c. n.)

[1]) Zobacz np. Lübke Kunstgeschichte str. 684.

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

Jan Zacharyjasiewicz.

(*Dokończenie*).

Jednostronność łączy się nieraz u p. Z. z *rutyną*. Przytoczyliśmy przykład pierwszej, należy uwydatnić i drugą. P. Z. napisał powieść *Posag*. Temat to obrabiany u nas od pierwszych początków powieściopisarstwa, zawsze w jeden i ten sam sposób. Wszyscy bez wyjątku, narzekają na młodzież męską, że *goni za posagiem*, że nie dba o wewnętrzne zalety, o dobroć, o uczciwość, cnotę i t. d., ale patrzy jedynie na nędzną mamonę. P. Z. łączy się z tym ogólnym chórem, dodając od siebie taki komentarz pocieszający: „Jesteś sierotą (mowa o bohaterce 2 go rzędu) i często wypowiadasz to gorzko, że *nie masz posagu!* Wszystkie twoje nieszczęścia upatrujesz w tym jednym słowie, że jesteś bez posagu! *Bez posagu*— są to wprawdzie straszne słowa dla tylu tysięcy kobiet, które posażnym pierwszego miejsca i szczęścia ustąpić muszą. Ale nie myśl, aby to była prawda bezwzględna, aby to była zasada społeczeństwa!.. Działają w nim jeszcze i inne niż złota potęgi... A te potęgi są dla każdego do nabycia, byle tylko chciał i pragnął. Są to potęgi wielkich cnót, wielkich bezprzykładnych cierpień, które często stanowią tak ogromny kapitał, że nawet dzieci i wnuki nim się obdzielają. Zaiste żywot dobry i poczciwy rodziców, którzy prócz cierpień przebytych przez ten żywot, nic innego dzieciom zostawić nie mogli, jest dla dzieci kapitałem, który równać się może milijonom!..“ Śliczne to słowa, my pierwsi przyklaskujemy im z serca, spadkobiercy cnót i cierpień ogólnych, jeżeli sami cnotą się odznaczają, godni są poszanowania... Ale to kwestyi nie zmienia. Mnóstwo jest dziewcząt bez posagu, takich lub innych. Nie w tym rzecz, ażeby narzekać i *stoicką* dawać pociechę, ale trzeba zbadać ów objaw do gruntu, wykazując *ekonomiczne* jego przyczyny. Wyrzekanie i wyklinanie młodzieży, może wielu rozczulić, ale nikomu nie pomoże; jestto *rutyna*, któréj trzymanie się nie może świadczyć o jasnym rozumieniu spraw społeczeństwa, ale co najwięcej o trzymaniu się tradycyjnych śladów powieściopisarstwa. Naprzód w pracy produkcyjnej zarówno mężczyzn jak i *kobiet* na polu ekonomicznym szukać należy rozwiązania zagadki, która w znacznej części wywiązała się z niemożności utrzymania rodziny. Wyrobienie *charakteru* w obu płciach jest drugim ważnym punktem, którego brak wytwarza owe skombinowane w rozmaity sposób dziwotwory, będące celem ślepych pocisków naszych powieściopisarzy. Należałoby już raz się pozbyć tego tonu jeremijad, który sprawia tylko nudy......

* * *

P. Z. najlepiej zna Galicyją i najdokładniej ją opisuje. Zarówno lud rusiński jak biedne i bogate mieszczaństwo, zarówno arystokratów pieniężnych jak i arystokratów rodowych w szczegółach charakterystycznych umie przedstawić i ujemne zwłaszcza strony wybornie odmalować. Związany wielką przyjaźnią z matką-naturą, wsłuchuje się nieraz w tajemnicze jéj szepty i nadaje jéj ruch i życie, myśl i uczucie, stara się zaprowadzić stały stosunek pomiędzy nią a ludźmi. Nie wychodzi on tu pospolicie po za granicę zwyczajnych *romantycznych* westchnień róż i bławatków, po za płacz wierzby i melancholiją konwalii. Jest w tym i wiele uroku i wiele komunałów. P. Z. nie spogląda na naturę okiem badacza, ale marzyciela, nic więc nowego odkryć w nich nie zdołał. Tradycyjna rutyna i tu również pierwsze zajmuje miejsce. Co się tyczy zewnętrznej strony utworów p. Z. *artystycznego układu* i *języka* należy odróżniać dwie dość ściśle odgraniczone epoki. W pierwszej zostawał pod przeważnym wpływem literatury niemieckiej. Długie i zawikłane okresy, dość często porozsypywane romantyczne apostrofy i melancholiczne westchnienia, świadczyły zarówno o czułostkowości autora jak i o braku samodzielnego wyrobienia w rzeczach stylowych. Język szorstki, zaniedbany i niepoprawny, w wielu miejscach germanizmami skażony, nie poddawał się umiejętnemu kierownictwu, nie był jeszcze posłusznym sługą w ręku wszechwładnego pana. Były to rzeczy ciężko wypracowane, mozolnie na świat wydane, a przecież od średniej nawet dobroci nader dalekie. P. Z., o ile wiemy na polu piśmiennictwa pracuje od r. 1848, a przecież jeszcze w 1855, 7 i 8 utwory jego były raczej obszernie rozprowadzonemi ćwiczeniami, aniżeli dziełami sztuki. Takiemi są *Uczony, Sierota wielkiego świata*, a nawet *Renata*. Później nastąpiły powieści silniejsze, podniosłe nawet pod względem myśli, ale słabe jeszcze pod względem formy a przedewszystkim pod względem stylu i języka. Dopiero kiedy p. Z. zaczął stale prawie przebywać w Warszawie, kiedy się bliżej i dokładniej przyjrzał sposobowi pisania, jaki tutaj panował, kiedy się obeznał z wymaganiami redakcyj; — wówczas styl swój wygładził, uczynił giętszym i odpowiedniejszym do wyrażania różnych odcieni myśli i—zaczął tworzyć bez porównania daleko więcéj niż przedtym, gdy był w Galicyi. Posypały się powiastki i powiasteczki po kilka rocznie—zdawało się, że chce dorównać Kraszewskiemu—w płodności. Na ten cel wytworzył sobie mnóstwo frazesów pięknie brzmiących, a często nawet głębokich, któremi powieści swoje, opisy i charakterystyki obficie przeplata. Chcąc dodać rozmaitości swoim opowiadaniom, przenosi scenę do Warszawy, ale nie poznawszy gruntownie ani miejscowości, ani ludzi, wywiązuje się z obowiązku charakterystyki wtedy tylko, gdy mowa o harmapolitach, którzy wszędzie i zawsze są jednakowi. W ostatnich czasach polubił nadzwyczaj koleje żelazne i podróż niemi przepisuje swoim bohaterkom jako *lekarstwo na miłość*. Pomimo to jednakże nie zawsze zadawalnia wymagania artystyczne. W skutek zbyt wysilonej płodności i koniecznego stąd pośpiechu, nie może obrzucić pomysłów swoich jednolitą szatą artystycznego piękna, albo inaczej, nie może ich pomieścić na jednym płótnie, maluje więc na skrawkach, które następnie w jedność skleja. Bezwątpienia powstanie z tego *pewna* całość—ale rozerwana, zszywana. Pojedyńcze obrazki, doskonale obrobione, razić będę, kiedy się je ustawi obok siebie, bo nie znajdziem między niemi spójni istotnej, wewnętrznej. Siłę *plastyki*, którą posiada p. Z. w bardzo niskim stopniu, zastępuje drobiazgowością opisu, nie pomijającą najnędzniejszego, niedojrzanego prawie objawu zewnętrznego w ruchach twarzy i giestykulacyi, przyczym wybiera sobie jakiś *ulubiony* ruch ręki lub oczu, powtarzający się przy każdej okoliczności. Tak samo postępuje z pewnemi frazesami, które miarowo, w pewnych odstępach czasu, powtarza do znudzenia. Jest to drobnostka charakterystyczna, ale wybornie przedstawia rodzaj stylu p. Z., który poznaje się odrazu. Czasami powtarzanie takie wywołuje efekt humorystyczny, który nie był zapisany w rubryce autora.

P. Zacharyjasiewicz zanadto się rozlubował w drobnostkach życiowych. Od lat już kilku czytamy same anegdoty lub parafrazy, dawniej obrobionych tematów. W lepszej chwili swojej twórczości (w powieści *Po ślubie*, 1866) wypowiedział on myśl, której powinien był zostać wiernym. „Postąpiliśmy naprzód—powiada on tam—a uczucia egotyczne muszą ustępować prawom powszechnym. Dziś jednostki rozpływają się w ogóle. Trzeba więc uderzyć w uczucia socyjalne, zbiorowe, które poruszają sercami milijonów!” Tak jest—to prawdziwy sposób pożytecznego działania, to najpewniejsza droga do chwały!..

P. Chmielowski.

Wychowanie

ze stanowiska antropologii.

PRZEKŁAD Z ROSYJSKIEGO.

(*Ciąg dalszy*).

W ostatnim wypadku, chłopczyk wcześnie może zacząć przyuczać się do sposobu życia dorosłych i postępować za swym ojcem, we wszystkiem go naśladując. Łatwo wyucza się on tych sposobów postępowania, które niezbędne mu są przy wyszukiwaniu dzikich zwierząt i roślin; może też śmiało naśladować ojca w wielu nawyknieniach życia powszedniego; a niezawodniego prędzej nauczy się jeść rękami, aniżeli dziecię ucywilizowanego społeczeństwa, nauczy się używać noża, widelca i łyżki, nie czyniąc sobie temi przedmiotami żadnej krzywdy. Dzikiego dziecka nie potrzeba uczyć siedzieć na krześle i za stołem, biegać po gładkiej podłodze i t. p. Prosty sposób życia „dzikiego“ człowieka, rozumie się, jest więcej zbliżonym do właściwości dziecka, aniżeli daleko bardziej skomplikowany sposób życia ludów ucywilizowanych.

W kwestyi tej istnieje taki sam stosunek, jak i w kwestyi względnej różnicy między dzieckiem i dorosłym u ludzi ucywilizowanych. Niezależnie od poprzednich uwag łatwo przekonać się o tym, że dany sposób życia, odpowiadając warunkom życia człowieka dorosłego, musi być koniecznie zbyt skomplikowanym dla dziecka. I dla tego to słuszną jest ta, przez wielu uznana już okoliczność, że lepiej jest wychowywać dzieci (przynajmniej do pewnego wieku), na wsi, niż w mieście. Całe wiejskie otoczenie, z ogrodami, polami i t. d. daleko więcej może odpowiadać warunkom niezbędnym dla rozwoju

dziecka, aniżeli miasto ze swemi teatrami, pałacami, sklepami, hecami i t. p. W tym względzie zupełnie się zgadzamy z J. J. Rousseau, który rozpoczyna wychowanie swojego Emila na wsi i tylko czasem, (z tym wszystkim zresztą bardzo wcześnie) zawozi go do miasta. Tylko że my, uważając zwykłe otoczenie wiejskie za więcej odpowiednie dla dziecka aniżeli miejskie, dalecy jesteśmy od uważania go za zupełnie odpowiadające wszystkim warunkom rozwoju dziecinnego organizmu. Niestety, ten organizm przedstawia wiele takich stron, które każde otoczenie wiejskie czynią dla niego zbyt złożonym. Powinniśmy koniecznie mieć na uwadze (co mianowicie zawsze tracą z oka obrońcy teoryi wychowania „naturalnego"), że dziecko nie jest człowiekiem w minijaturze, rodzajem chwilowego karzełka, który posiada wszystkie przymioty charakteryzujące człowieka dorosłego. Już proste embryjologiczno-anatomiczne badanie pokazuje nam, że organizm dziecka pod względem przymiotów, różni się od organizmu człowieka dorosłego. Mówiliśmy wyżej o chwilowych spojeniach, które bardzo ważną odgrywają rolę w rozwoju mózgów, a w skutek tego i całego organizmu. U dziecka istnieją także szczególne organy (np. grasica thymus), i anatomiczne osobliwości systemu krwionośnego. Nerki jego mają postać dłoniastą i t. p. A pod względem intellektualnym dziecko także nie jest człowiekiem w minijaturze. Choć bardzo wcześnie zaczyna ono kojarzyć oddzielne wyobrażenie i robić z nich wywody, to czyni to inaczej niż ucywilizowany człowiek dorosły i stądto dziecko żywo wyobraża sobie wszystko i w ogóle zewnętrznym przedmiotom nadaje postać ludzką.

Różniąc się pod wielu ważnemi względami od człowieka dorosłego, dziecko oczywiście nie może wytrzymać w tym otoczeniu, które jest stosowne (lecz i to tylko w pewnym stopniu), dla ludzi dorosłych. I dla tego to, aby pogodzić dziecko ze znajdującemi się naokoło niego warunkami życia, zwykle używają się różnego rodzaju środki gwałtowne. Wyjaśnimy to na przykładzie. Dziecko, znajdując się w ogrodzie, spostrzega piękne lecz szkodliwe jagody. Widok tych ponętnych owoców obudza w nim chęć nieprzepartą zjedzenia ich. Postępuje ono zupełnie naturalnie, mając zamiar zerwać jagodę i włożyć ją w usta. W całym jego organizmie nie ma regulatora, któryby je odwiódł od tego zamiaru; widok jagód nie jest dla niego wstrętnym lecz pociągającym oko i smak także. Oczywiście, że tu widzimy przykład niezgodności dziecka (kierującego się swojemi zmysłami) z znajdującym się w około niego otoczeniem; dla pogodzenia ich, potrzeba jest wtrącenia się człowieka dorosłego jako pośrednika. Wychowawca stara się wpoić w dziecko przekonanie, że te jagody są szkodliwe i że dlatego ich jeść nie należy. Dziecko w znakomitej większości wypadków, nie zgadza się z temi dowodzeniami, ponieważ według jego zdania, wszystko co smaczne i ładne, jednocześnie jest i zdatne do jedzenia. Wychowawca musi uciec się do gwałtu, to jest odebrać jagody, lub odprowadzić dziecko. Dziecko rozumując na zasadzie własnych wyobrażeń, to jest sądząc o wartości przedmiotów ze smaku, uważa wychowawcę za wielce winnego, i ulegając sile, zasmuca się i złości. Taki jest zwykły przebieg sprawy. Nieodpowiedniość życzeń dziecka, ze znajdującym się naokoło niego otoczeniem, prowadzi do zepsucia charakteru, to jest w większej części wypadków wywołuje albo bardzo silne rozdrażnienie, albo też zobojętniałą uległość, to jest apatyję.

Wypada pomnożyć w umyśle wypadki nieodpowiedniości zewnętrznego otoczenia z naturalnemi skłonnościami dziecka—i wówczas będzie rzeczą łatwą do pojęcia, że muszą one wywierać zły wpływ na rozwój charakteru. Od tego wywodu łatwo jest przejść do następującej reguły: *dla możebnie najlepszego wychowania należy starać się o postawienie dziecka pod wpływem otoczenia, najbardziej odpowiedniego.*

Ukazaliśmy na jednę, i przytym bardzo ważną przyczynę niepowodzenia w wychowaniu, to jest na jedno ze źródeł tak zwanego „zepsucia" charakteru. Dziecię narodów ucywilizowanych zbyt wybitnie różni ię od dorosłego indywiduum i dla tego niemoże żyć w otoczeniu stosownym dla te go ostatniego. W skutek tego, naśladownictwo, odgrywające tak ważną i dobroczynną rolę w sprawie wychowania zwierząt, mniej różniących się wiekiem, okazuje się bardzo często szkodliwym przy wychowaniu dziecka ludzi ucywilizowanych.

Bardzo znaczny stosunkowo czas trwania zewnątrz-macicznego, czyli wychowawczego rozwoju dzieci, przedstawia się jako dalszy, bardzo niesprzyjający warunek wychowania. Lecz, oprócz wskazanej, są jeszcze i inne przyczyny, przeszkadzające prawidłowemu wychowaniu dzieci. Spoczywają one mianowicie w samych warunkach fizycznego rozwoju dziecinnego organizmu. Naukowo stwierdzone fakty świadczą, iż ta harmonija, która (i to tylko w pewnym stopniu) ustala się w organizmie dorosłym pomiędzy rozlicznemi częściami ciała, stanowi jedno z ważniejszych zjawisk rozwoju, i że w dziecku istnieją takie organy, które ostatecznie rozwijają się wcześniej aniżeli powinny funkcyjonować. W rozwoju ludzkiego organizmu spotykamy w ogóle nieodpowiedniość w stosunkowym rozwoju organów, która służy za źródło wielu szkodliwych dla organizmu czynności i stanowi istotną tamę prawidłowego wychowania.

(*d. c. n.*)

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

(Dokończenie).

Z Polesia. w Kwietniu r. b.

O gospodarce polskiéj, handlu i przemyśle, o dochodach z roli i z lasu, o żydkach, ich handelku, o braku dróg komunikacyjnych i niedogodności zbytu produktów pisałem już do „Gazety Rolniczéj". W dawniejszéj *korespondencyi z Polesia* do „Tygodnika mód i powieści", umieszczonéj, jeżeli się nie mylę, w Nr. 39 tego pisma z roku zeszłego streściłem to, co mi się udało zdobyć na polu historycznych podań, tyczących się samego owrucza i niektórych jego okolic, pisałem tam wreszcie i o zapadłym Owruckim Polesiu i o stronach oleskich, gdzie to:

„Szumią lasy—pomieszkania bogów",

a drogi pełne błot bagien i rozdołów tak, że na wiosnę i w jesieni z wioski do wioski przejechać nie można, a latem, przejechawszy milę, trzeba krzyż mydłem i wódką smarować.

Teraz więc należy mi jeszcze powiedzieć słów kilka o starożytnym Korostenie, dziejowym m. *Iskorości*, leżącym o cztery mile od Owrucza przy trakcie żytomierskim.

Podjeżdżając doń od strony Owrucza spostrzegasz najpierwéj grunt kamienisty, las dobrze przetrzebiony ogromną ilość wysokich kurhanów, porosłych wiekowemi dęby. Te kurhany — to pomniki bitew, w których kiedyś lała się dzika krew drewlańska....... Tu poległ Igor. Właśnie ta ot najwyższa przed nami mogiła w wieńcu z dębów i brzóz płaczących ma być *Igora mogiłą*, a to, co na lewo spoza gęstych drzew w kształcie ogromnego półkola przegląda— to wały obronne przed tysiącoletniego Korostenu. Dzisiaj na wałach pasie się wiejska trzoda, dozorujący pastuszek siedzi na kurhanie i żałośną dumkę na dudce z *wierzby* wygrywa. Płyną smętne tony po historycznéj drewlan ziemi, mieszając się z wiatrem szumiącym pomiędzy drzewami.—Dziwnie to urocza sielanka.

Wjeżdżasz nareszcie do dawnego Korostenu. Dwieście z górą mieszczańskich i żydowskich brudnych domostw, jedna cerkiew, szkoła wyznania Mojżesza, i trzy na placu zajezdne karczmy, oto cały starożytny gród, kiedyś stołeczny, a dziś nędzna mieścina.

Poprosiwszy znajomego mi tutejszego prystawa (asesora) o przewodnika, poszedłem w towarzystwie znajomych zwiedzić tutejsze osobliwości. Przechodzimy obok kaplicy.

— Ta kaplica, powiada cicerone, stoi na grobie starego jenerała Lubowickiego. Przed kilkunastu laty poprawiali tu podłogę i znaleźli pod nią spruchniałą trumnę, a w trumnie na kościach nieboszczyka błyszczące ordery, krzyże i gwiazdy. Vanitas vanitatatum et omnia vanitas..

Przewodnik szedł naprzód, myśmy podążali za nim. Naraz zawróciliśmy na lewo i po krętej wąskiej ścieżce wdrapaliśmy się na stromą górę, a stąd ujrzeliśmy szczątki jakiegoś starego zamczyska, nazwanego przez przewodnika *zamkiem kniazia*. Jakiego? Niewiadomo. Mająż te ruiny sięgać jeszcze czasów księcia Mała? Kto wie? Rzecz to możebna, wszakże i Owrucz szczyci się piękną cerkwią, zbudowaną przez św. Włodzimierza, lat temu tysiąc już prawie. Pod zwaliskami zamkowemi, jak objaśnia znowu przewodnik, ciągną się ogromne jakieś lochy podziemne, wzbudzające ciekawość i obawę w okolicznym zabobonnym ludzie, gdyż nikt w nich nie był, i nikt nie wie, co się tam znajduje.

Uszedłszy z kilkaset jeszcze kroków, zaczęliśmy opuszczać się na dół i wkrótce znaleźliśmy się w zachwycająco-malowniczej okolicy. Przed nami rzeka Ucz, za nami wysoka spadzista góra, okryta roskoszną zielonością i odwiecznym lasem, a my u podnóża ogromnej prostopadłej, jak ściana kamiennej skały, mającej około 150 stóp wysokości. Ktoś z towarzystwa zanócił cudnie-tęskny śpiew naszego lirnika:

„Szumią jodły na gór szczycie,
Szumią sobie wdal..."

A inni spójrzeli do koła, jakby wzrokiem odszukać chcieli nieszczęśliwego litwina.

— A czy widzą państwo tę stojącą nieruchomie pomiędzy kamieniami w jednym miejscu wodę?—zapytał, przerywając milczenie przewodnik.

— Widzimy—odpowiedziano chórem.

— Stała tu kiedyś, jak *dejkają* starzy ludzie, cerkiew. Aż raz w niedzielę, kiedy pop *prawił obiednią* (mszę), a ludzi było wiele, cerkiew ni stąd ni zowąd razem ze wszystkiemi ludźmi i z popem poszła pod ziemię, zapadła się, a na jej miejscu wystąpiła ta *stojąca woda* i *trzy krzyże* kamienne.

— A gdzież się podziały te krzyże?—zapytała jedna z pań.

— My starzy doświadczeni, wiemy. Może państwo nie uwierzą, ale to prawda. Są takie oczy, JWPani, co *zadają uroki*, jak na kogo spójrzą, to albo zachoruje, albo bydło jemu wyginie, a zawsze coś złego się stanie. Ot jeden tu człowiek miał takie oczy, to jak spojrzał na krzyże, a one w wodę i pouciekały.... No, a tę skałę kamienną na lewo, co tak pochyło, jak stara baba się trzyma, państwo widzą? i pokazał nam coś palcem.

Spójrzeliśmy i ujrzeli garbatą wysoką pochyloną nad wodą skałę.

— Oto jak cerkiew się już zapadła, ciągnął dalej przewodnik, i woda wystąpiła, starszy djabeł zaczął tu przysyłać na pokutę młodych *czarcionków*, karząc im kąpać się w tej świętej wodzie. A *czarcionkom* zapach takiej wody był naturalnie nie do smaku; sadzili się więc, aby zawalić to miejsce i poszli dźwigać na plecach tę krzywą teraz skałę. Długo się mocowali, aż nareszcie poruszyli z miejsca, gdy w tym kogut: ku-ku-ry-ku! ot oni skałę rzucili, a sami pouciekali... Dlatego to ludzie nazwali tę skałę *djable plecy*...

— A czy nie słyszeliście czasami czego o Igorze albo Oldze? zapytałem po chwili.

— Co o Igorze, to nic, proszę panicza, nie słyszałem, a Olga, która służyła u pana prystawa, jeszcze *przeszłego lata* wyszła za mąż za mieszczanina Janka...

Rozmówiliśmy się, niema co mówić. Przytomni parsknęli śmiechem.

Na tym wszakże nie koniec.

— Powiedzcież mi, mój kohany Wasylu, co to u was za kurhany wszędzie rozrzucone, czy nie wiecie czego o nich.

— To, proszę panicza, była kiedyś wielka wojna, ludzie bili się bardzo. Mówią, że tam są różne skarby zakopane i pieniądze wielkie, tylko *zaklęte*, że ich nikt dostać nie może, bo kto odkopie, zaraz umrze, a ziemia znowu się zawali...

Tak rozmawiając, szliśmy dalej. Po chwili ukazał się nam szczególny most z kamieni, rzucony przez rzekę bystro płynącą. Budowniczym była tu sama przyroda. Doszliśmy do połowy i tuśmy się zatrzymali. Przed nami sterczało kilka ogromnych spiczastych kamieni i czerniły się zimne nurty głębokiej w tym miejscu rzeki, na której niedaleko od nas na prawej stronie, znajduje się niewielka okryta bujną zielonością i rozłożystemi drzewami wysepka; o kroków dziesięć na lewo wznosi się stroma skała; pomiędzy tą wysepką jest inna mniejsza znowu skała, z której spadający z szumem w srebrzystych strugach wodospad, napełnia w dole trzy kamienne naturalne wanny: jedna z nich największa ma około $2\frac{1}{2}$ arszynów głębokości, druga cokolwiek mniejsza, a trzecia mała, nie więcej nad arszyn głęboka. Na największej widzieliśmy jakby startą wiekami cyfrę, podobną do słowiańskiej litery O. Jeżeli wierzyć podaniu, mają to być *kąpiele św. Olgi*, księżniczki kijowskiej, zdobywczyni Korostenu.

Stąd powróciliśmy do domu i w samę jak to mówią porę. Ledwie bowiem znaleźliśmy się pod dachem, niebo pokryło się ołowianemi chmurami, oziębiło powietrze, opuścił deszcz ulewny i oto już przeszło tydzień zamiast wiosny, mamy ponurą, posępną, zimną jesień, a tak zimną, że parę razy śnieg tu nawet przelatywał.

Z innych miejscowości stron owruckich zwraca jeszcze uwagę Norzyńsk, miasteczko wcale liche, nad rzeką Norzyniem położone. Ale do skarbnicy jego podań nie mogłem się dotąd dobrać. Są tu szczególnej formy i ogromnej wysokości kurhany, a także dość wysoka, widocznie ręką ludzką sypana w formie czworogranu góra, a na niej ruiny zwane *zamkiem królowej Bony*.

Gdy o kurhanach tych i o tym zamczysku zbiorę więcej szczegółów, to wam o nich napiszę, a teraz kończę niniejszą korespondencyją z Polesia słowy:

„Tam na północ! hen daleko!
Szumią puszcze po nad rzeką,
Tam świat inny, lud odmienny“,

i dodaje od siebie:

. . . .
Przestrzeń lasów nieskończona,
A już taka tam uczynność,
A już taka tam gościnność,
Że nie darmo owa strona
Słynie gadką dobrze znaną:
„Czym zapaśna, czym bogata,
Tym gościowi rada chata“.
Gadkę tę *serdeczną* zwano....
. . . .
A gdy mi nie wierzysz bracie,
Wierz wieszczowi, bo on stary;
A gdy i on nie wart wiary,
Przyjdźcie tutaj, a poznacie!....

F. M. Ejsmont.



Kopernik w Italii, czyli Dokumenty italskie do monografii Kopernika zebrał Dr. *Artur Wołyński.*—Poznań, 1873 r.

Imię wielkiego naszego astronoma należy do szczupłej liczby tych, które błyszczą na kartach dziejów powszechnej cywilizacyi. Dzień czterechsetnej rocznicy jego urodzin (19 Lutego 1873 r.), który prócz nas obchodzili i niemcy i włosi, dał prawo bytu licznym pracom w dziedzinie sztuki i wiedzy podjętym. Dzieło D-ra Wołyńskiego niepoślednie w gronie tym zajmuje miejsce.

Zadaniem autora, jak już sam tytuł wskazuje, było zebrać wszystkie niezbędne do wyczerpującej monografii o Koperniku materyjały, o ile takowych literatura włoska dostarczyć mogła. Bogactwo treści, zawarte w obszernej, bo z 300 blisko stronic złożonej książce, obok wyrażonej przy końcu obietnicy możliwych w przyszłości dopełnień i sprostowań, każe nam podjęte zadanie uważać za spełnione, a pracę za pomnik zacnej dążności, trzeźwej myśli i wytrwałych obywatelskich trudów.

Kwestyje, do których wyjaśnienia Dr. W. pracowitą przykłada rękę, możnaby podzielić na—bijograficzne, biblijograficzne, polityczne, i ogólne, cywilizacyjno-dziejowe. Ze względu na bijografiją, dzieło to poprawia ostatecznie, na podstawie krytycznego zestawienia danych, wszystkie—co do dat urodzenia, śmierci i pobytu w Italii,—w dawniejszych, kompilacyjnych życiorysach Kopernika popełniane błędy. Mówiąc o narodowości astronoma, wyczerpuje cały zasób dowodów, stwierdzających nieuznawaną i zaciemnianą długo przez zawistnych sąsiadów prawdę. Wiele też przygotowano tu szczegółów, mogących posłużyć do skreślenia dziejowego obrazu losów, jakich doznawał—osobliwie w Italii i wobec kościoła—system toruńskiego mistrza. W tym pierwszym konturze tymczasem zarysowuje się już wyraźniej historyczne przedstawienie stosunku propagatorów systemu do katolickiego pontyfikatu i jego władz zastępczych. (W roku 1616 wniesiono księgę naszego astronoma („De orbium coelestium revolutionibus) do indeksu, od 1757—zaczęto ją tolerować, i *dopiero w 1820* wykreślono ze spisu dzieł zakazanych.)

Do rozleglejszych wywodów i zaciekań dał autorowi powód, jak z jednej strony—stan opinii giermańskiej o narodowości kanonika warmińskiego, tak z drugiej—średniowieczczyzną i nieuctwem zatrącające, samolubne pretensyje włochów, którzy starożytnym greko-italskim filozofom odkrycie systemu przypisując, w lichych elukubracyjach, współczesnych Kopernikowi swoich współziomków, chcieli widzieć urzeczywistnienie pitagorejskich przeczuć. Dowody, jakich Dr. W. przeciw italskim uczonym używa, są w najwyższym stopniu pozytywne, bo ściśle pragmatyczne i materyjalne. Ostatniemi krzewicielami i popieraczami nieusprawiedliwionych niczym roszczeń są—Tiraborski (autor najobszerniejszej historyi literatury włoskiej, zmarły 1794 r.) i znany dziejopisarz Kantu. Traktujące o Koperniku ich artykuły Dr. W. przytacza w całości, a dla odebrania fałszywym poglądom wszelkiej logicznej i materyjalnej siły, cytuje jużto zachowane u Dyjogienesa z Laerty niejasne teoryje pitagorejczyków, jużto długie wyciągi z dzieł kardynała Kuzy (Cusa) i Kalkaniniego (Calcagnini), których włoscy historycy najniesłuszniej za bezpośrednich poprzedników naszego astronoma uważają. Dzieło tym sposobem przybiera ogólną polemiczną barwę, która łamie niekiedy szyki pracowitemu zbieraczowi dokumentów i zwrotowemi nawiasami psuje systematyczny ich układ. Zarzut ten wszakże jedyny, jako odnoszący się do czysto zewnętrznej i formalnej strony dzieła, nie obniża bynajmniej jego istotnej wartości i nie przeszkadza, abyśmy je czytelnikom z całego serca zalecili.

A. G. B.

Od Redakcyi.

Opiekun Domowy wychodzić będzie nadal w tym samym co dotąd kierunku.

W głębokim przeświadczeniu o potrzebie organu, któryby dotykał najbliżej nas obchodzących spraw rodziny i społeczeństwa, dołożymy wszelkich starań, ażeby pismo nasze nietylko ożywić i poczytniejszym uczynić, ale zarazem nadać mu trwałą, rzeczywistą wartość.

Wzrastająca liczba prenumeratorów utwierdza nas w przekonaniu, że praca nasza może się stać pożyteczną, i że liczne ulepszenia, jakie w myśl przyjętego rodzinno-pedagogicznego kierunku, tak w samym piśmie, jak i w szeregu lżejszych i poważniejszych wydawnictw przeprowadzić zamierzamy — zyskają, jak o tym nie wątpimy, gorące poparcie czytelników, zgodnie z nami pojmujących ważność zadań, którym postanowiliśmy służyć rozważnie a wytrwale.

Prenumerata Opiekuna Domowego wynosi:
w Warszawie: kwartalnie kop. 90.
miesięcznie „ 30.
na prowincyi łącznie z przesyłką pocztową:
półrocznie rs. 1 kop. 50.
kwartalnie „ 1 „ 25.

Sprostowanie. W Nrze 24 w artykule wstępnym str. 187, łam, III wiersz 11 zamiast *ekonomice* p. b. *ekskomunice*—i łam. III wiersz 46 zam. *samowychowawczy* p. b. *samozachowawczy*. W art. „z dziedziny mowy”, str. 190 łam. I, wiersz 6 w dopisku—zamiast „Jan”czytaj „Józef”.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.